

W służbie słowa...

Z Czesławem Miłoszem rozmawiała
Małgorzata Anna Packalén Parkman
Kraków, grudzień 2003

W połowie 2004 roku zmarł w sędziwym wieku 93 lat Czesław Miłosz, laureat Nagrody Nobla w 1980 roku. Tym samym literatura polska straciła jednego z najslawniejszych polskich pisarzy XX wieku.

Mimo zakazu cenzury dzieła Miłosza, w latach, kiedy przebywał on na emigracji w Europie i w USA, różnymi drogami docierały do czytelników w kraju. Nazwisko Miłosza już wtedy zaczęło nabierać pewnej „mitycznej” otoczki, stając się symbolem wolności intelektualnej i wiary w kulturę i literaturę niezależną od politycznych okoliczności. Stąd też ja sama nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie sprawiły na mnie uroczystości związane z przyznaniem Miłoszowi Nagrody Nobla w grudniu 1980 roku. Było to krótko po moim przyjeździe do Szwecji, gdzie jako początkująca doktorantka w Instytucie Języków Słowiańskich na Uniwersytecie w Uppsali zbierałam właśnie materiały do pracy doktorskiej na temat współczesnej poezji polskiej. Pamiętam doskonale spotkanie z Noblistą 13 grudnia 1980 w Uppsali, zarówno to z publicznością, jak i to w mniejszym gronie, w Instytucie Języków Słowiańskich, zaaranżowane przez ówczesnego dyrektora Instytutu, profesora Svena Gustavssona. Czesław Miłosz, z wielką swadą i erudycją, jednocześnie zaś z ogromną dozą humoru odpowiadał na pytania uppsalskich literaturoznawców i komentował wydarzenia związane z Nagrodą Nobla.

Od tego spotkania minęło wiele lat, w czasie których spotykałam Czesława Miłosza przy różnych okazjach. Nigdy jednak nie sądziłam, że – dziwnym zrządzeniem losu – będę tą, która przeprowadzi ostatni długi wywiad z sędziwym pisarzem. O wywiad ten poprosiła mnie w październiku 2003

roku redakcja Działu Kultury Dziennika „Göteborgs-Posten”, która zamierzała zakończyć obchody Roku Polskiego w Szwecji rozmową z „Grand Old Man” kultury polskiej. Siedząc w samolocie, w drodze ze Sztokholmu do Krakowa, do ostatniej chwili nie byłam pewna, czy wywiad ten dojdzie do skutku. Miłosz bowiem teje jesieni bardzo chorował i nasze spotkanie, wcześniej z tego właśnie powodu przełożone, doszło do skutku dopiero w grudniu, przed samymi świętami Bożego Narodzenia.

Jednakże w dniu wywiadu w drzwiach swojego krakowskiego mieszkania powitał mnie niezmiennie ten sam, pelen energii i uroku osobistego starszy pan, jakiego pamiętałam z wcześniejszych spotkań. Jego sekretarka i asystentka, pani Agnieszka Kosińska, pomogła mi rozstawić magnetofon, ze względu na stan zdrowia Miłosza ustaliliśmy też, że serię zdjęć na zamówienie „Göteborgs-Posten” fotografka Miłosza, pani Elżbieta Lempp, wykona później. Tak więc w bardzo kameralnej atmosferze rozpoczęliśmy naszą rozmowę – oczywiście, jak można się spodziewać, od tematu Szwecji, zawsze Miłoszowi bliskiej, nie tylko ze względu na Nagrodę Nobla. Mam tego dowód, kiedy, na moje pytanie o miejsce literatury w życiu człowieka i jej roli w kształceniu umysłu i wrażliwości dziecka, Miłosz odpowiedział, że jedną z książek, która wywarła wpływ na jego dzieciństwo i ukształtowała go literacko, była „Cudowna podróż” Selmy Lagerlöf, czyli przygody Nilsa Holgerssona, podróżującego, jak pamiętają czytelnicy tej książki, na grzbiecie gęsi poprzez Szwecję. Z przyjemnością podjęłam ten temat:

Tak, pamiętam, że wspominał Pan Profesor w swoim przemówieniu noblowskim fascynację tą właśnie podwójną perspektywą: onym połączeniem patrzenia z góry, dającym pełną ogólność widzenia, z możliwością obserwowania szczegółów.

CM: No i, oczywiście, ten motyw zmniejszania się to bardzo literacki dla mnie motyw. Oglądanie oczami małego człowieczka i dużego człowieka tych samych miejsc.

Tę podwójną perspektywę ma się też, patrząc na własną kulturę z perspektywy innej kultury. Ciekawia mnie bardzo doświadczenia Pana Profesora w tym zakresie. Jak Pan sądzi, co odróżnia naszą literaturę polską, co jest w niej specyficznego, na dobre i na złe?

CM: Oczywiście, zmaganie się z historią. W takich rozmiarach nie znam żadnej innej literatury, która by – chcąc nie chcąc – musiała uporać się z tym problemem. Poeta polski został przecież wrzucony w zagmatwaną sytuację polityczną niezależnie od swojej woli. Po prostu nie zdarzyło się w Europie, żeby duży kraj, taki, jakim była Rzeczpospolita Polska, został podzielony i znikł z mapy. Takiego zjawiska po prostu w Europie nie było! No i stąd

powstał przymus jakiegoś rozwiązania tego problemu dla siebie, jednakże wcale się na tym nie skończyło! W XX wieku nastąpił przecież nowy rozbiór: w 1939 roku Polska znów znika z mapy, podzielona umową między Stalinem a Hitlerem. Wytworzyło to mnóstwo sytuacji i powikłań osobistych losów, które zmuszają do zajęcia jakiegoś stanowiska. Wytłumaczyć to cudzoziemcom jest bardzo trudno.

Nasuwają mi się tutaj wiersze Pana, ten chyba najbardziej znany ze wszystkich, przetłumaczony na wiele języków, „Campo di Fiori”. Krytyka polska zgodnie wierzy, że wiersz ten uratował sumienie Polaków w czasie wojny, pokazując ich obojętność wobec losu polskich Żydów. Krytyka zachodnia nie jest jednak o tym do końca przekonana, uważając, że porównanie zagłady milionów ludzi do śmierci jednego człowieka – Giordana Bruna – nie bardzo ratuje owo polskie sumienie. Jakie są Pana myśli o tym wierszu po latach?

CM: Po pierwsze, wcale nie skończyła się sprawa tej karuzeli, niedawno jeszcze ukazał się artykuł kwestionujący moją sprawdomówność, nie tylko zresztą jeden artykuł, ale kilka tekstów, dowodzących, że to metafora wymyślona przez Miłosza, że nic takiego nie było. Było to skądinąd powodem m.in. korespondencji z Natanem Grossesem, który był oburzony artykułami w prasie polskiej. Bo ja rzeczywiście nie wymyśliłem tego, byłem tam, przejeżdżałem tramwajem i widziałem. Tematem tego wiersza jest samotność ginących i z tego powodu porównanie z Giordanem Brunem może być usprawiedliwione. Bo była to śmierć jednostkowa przecież. Stąd też ten wiersz podkutowany był rzeczywiście przez jakąś moralną, jakby powiedzieć, niewygodę.

Również Pana książka „Zniewolony umysł” odbiła się szerokim echem na całym świecie i pomogła wielu ludziom zrozumieć mechanizm politycznego usidlenia i zniewolenia, który nie zawsze był jasny dla ludzi poza systemem totalitarnym. Ale byli jednak krytycy, którym Pana głos wydał się głosem zbyt osądającym, wyniosłym, się ponad tych, którzy, w przeciwieństwie do Pana, nie mieli wyboru i nie mogli spojrzeć na siebie z pozycji outsidera?

CM: Mnie się zdaje, że dzisiaj zagadnienie tej książki jest inne. Przede wszystkim, pisałem tę książkę pod wpływem głębokiego wewnętrznego konfliktu, głównie dla odbiorcy zachodniego. Dzisiaj stoimy przed zupełnie innym problemem: chodzi o to, że jest to książka absolutnie niezrozumiała dla młodych pokoleń w Polsce. Głównie pewnie dlatego, że marksizm w Polsce nie sięgał głęboko, to było narzucone zachowanie się, narzucona ideologia. Stąd główna linia ataków na *Zniewolony umysł* ze strony polskich krytyków, zwłaszcza emigracyjnych, dotyczyła tego, że Miłosz to wszystko wymyśla, że nic takiego nie było. Był oportunizm, strach, a cała ta ideologiczna strona, to luksus. Ja, oczywiście, się z tym nie zgadzam, uważam bo-

wiem, że ideologia, jeżeli chodzi o Polskę, odgrywała dużą rolę, ale w bardzo ograniczonych, wyrafinowanych intelektualnie kręgach. Ale czytałem ostatnio recenzję ze *Zniewolonego umysłu*, który teraz ukazał się po rosyjsku. Tak, dopiero teraz. I to pisze Wiktor Jerofiejew, że gdyby się ta książka ukazała parę lat temu, to nie wzbudziłaby żadnego wrażenia, bo byłaby traktowana jako lokalny polski fenomen, ale dzisiaj, kiedy widzi się totalitarne tendencje w społeczeństwie rosyjskim, ona nabrała znaczenia. W każdym razie ta książka, *Zniewolony umysł*, funkcjonuje na amerykańskich uniwersytetach i college'ach, jako część historii XX wieku, natomiast w Polsce nie.

To paradoks, prawda?

CM: Rzeczywiście.

Jednym z motywów wiodących jest motyw rzeki i związanego z tym heraklitemskiego „panta rhei”, który powraca w wielu Pana wierszach. Trudno w tym kontekście powstrzymać się od zadania Panu osobistego pytania (choć wiem, że nie lubi Pan „biograficznych” pytań), związanego z Pana wizytą w 1992 roku i po blisko pięćdziesięciu latach...

CM: ...dwóch...

... pięćdziesięciu dwóch latach, na Litwie. Dwa lata potem wydał Pan tom wierszy „Na brzegu rzeki” – pełen wspomnień i refleksji. Jak odebrał Pan swój powrót – po tak wielu latach – do kraju dzieciństwa?

CM: Myślę, że to, co pisałem o kraju dzieciństwa np. w *Dolinie Issy*, to jest wynik szukania dystansu. Właściwie znajdowania tego dystansu przez odległość, przestrzeń. To nie jest książka sentymentalna. Ale mój powrót na Litwę był przede wszystkim powrotem do miejsca, gdzie się urodziłem, gdzie spędziłem kilka lat dzieciństwa, tzn. do domu moich dziadków, w Szetejniach. Muszę przyznać, że to było bardzo niespodziewane doznanie, np. spotkanie się z układem roślinności, tym samym, który pamiętałem z dzieciństwa. Za to wiele innych rzeczy się zmieniło, dlatego że byłem małym człowiekiem kiedyś, tak więc proporcje tego, co mnie otaczało, były zupełnie inne.

No i pewnie też inna perspektywa odbioru?

CM: Tak, ten powrót do mego domu, a właściwie nie domu, bo domu już nie ma, ale bardziej do miejsca, to był pewien wstrząs. Podobnie mój pobyt w Wilnie, gdzie spędziłem lata szkolne i uniwersyteckie – miałem dziwne wrażenie, że chodzę po mieście zamienionym w muzeum. Na pewno dlatego, że nie było już nikogo z tych ludzi, których znałem. Nie było też ich dzieci, ponieważ ludność żydowska została wymordowana, a ludność polska

przeważnie wyemigrowała. Tak że miałem bardzo dziwne uczucie, prawie fizyczne, obcowania z duchami ludzi, którzy kiedyś tutaj żyli.

W wielu rozmowach i wywiadach (ze względu na swój litewski rodowód, choć zapewne nie był to jedyny powód) podkreślał Pan myśl, że przedwojenna Polska była krajem zróżnicowanym etnicznie, różnorodnym religijnie. Dał Pan temu wyraz w „Dolinie Issy” i innych utworach. Jak zapatruje się Pan jednak na całe owe specyficzne dziedzictwo „polskości”, patrząc na nie z perspektywy czasu i historii, kiedy to Wilno – po okresie przynależności do Związku Radzieckiego – jest dzisiaj stolicą Litwy? I stosunek współczesnego społeczeństwa polskiego do owego spadku? Mogłoby się wydawać, że jest to sprawa, która bardziej interesuje ludzi za granicą niż w Polsce?...

CM: No cóż, spowodowało to wiele lat cenzury komunistycznej, która dała czy nałożyła wiele tabu. Był to ogromny nacisk cenzury, który wytworzył białe plamy w pamięci, nie wolno było o tym mówić. Tak że sprawa wypędzenia stamtąd, ze Wschodu, była poruszana w prasie emigracyjnej i jest poruszana dzisiaj w tak zwanych, no, czymś w rodzaju ziomkostw, ludzi pochodzących z Wilna, ale traktowano to niesłychanie stereotypowo, z tego powodu właśnie, z powodu tych białych plam, które były.

W dodatku stosunki narodowościowe są zafalszowane. Pozostaje tylko sztampa, obowiązująca przed wojną. Ja jestem jednym z nielicznych, którzy próbowali o tym bardziej otwarcie pisać. Jest cała literatura, którą można byłoby znaleźć, próbująca to oświecić, ale tu jest, mam wrażenie, jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Ciekawe, że polska literatura nowoczesna, która próbuje oswoić nowe terytoria na Zachodzie, zajęte przez Polaków, np. literatura o Gdańsku czy o Wrocławiu, ciągle wraca do Wschodu, ale tak mimochodem, bo przecież w Gdańsku czy we Wrocławiu jest ludność w dużym stopniu napływowa ze Wschodu.

To są niesłychanie ciekawe problemy, także socjologiczne. Tego ogromnego przesunięcia się Polski ze Wschodu na Zachód. Z wieloma komplikacjami. Przecież cała prawie inteligencja wyemigrowała z Wilna, a ci, którzy teraz są tam Polakami, powstali, że tak powiem, z niczego, dlatego że nastąpiło zerwanie tradycji i zostały zastygłe pewne sztampy przedwojenne. Tak więc stosunki w Wilnie też są dzisiaj bardzo niezdrowe.

W jakim sensie niezdrowe? Czy dlatego, że w dalszym ciągu nie są przywrócone właściwe proporcje, czy też dlatego, że to sprawy z przeszłości narzucają pewną specyficzną perspektywę?

CM: Mam wrażenie, że przeszłość, jeżeli nie jest w odpowiednim czasie naświetlona, ma skłonność do zastygania w sztampy, w mity i z tego powo-

du bardzo trudno jest mi się porozumieć z Polakami na Litwie. Czuję się skrępowany, zanadto kosmopolityczny.

Brzmi to w tym kontekście niemal absurdalnie. Ale rozumiem, co Pan Profesor ma na myśli.

CM: Tak.

Niejednokrotnie powtarzał Pan w wywiadach, że „duch Litwy” nigdy Pana nie opuścił, zainteresowało mnie również to, że porównał Pan Litwę i Polaków tam mieszkających z „Finoszwedami”, inaczej mówiąc, Szwedami urodzonymi i zamieszkałymi w Finlandii, których językiem ojczystym jest język szwedzki. Ludzie ci, nawet mieszkając poza Finlandią, znają się i często utrzymują kontakty. Jednak jeszcze bardziej fascynujące jest to, że wielu z nich, nawet tych mieszkających w Finlandii, zupełnie się z tym krajem nie identyfikuje, niektórzy nawet nie znają fińskiego albo bardzo słabo mówią po fińsku. Czy było coś podobnego u Polaków mieszkających na Litwie?

CM: Jak najbardziej. Jest to w ogóle fascynujący temat. I gdyby inaczej potoczyły się dzieje najnowsze, to niewątpliwie powstałoby pojęcie, u nas na Litwie, „Polaków litewskich”.

Czyli dokładny odpowiednik „Finoszwedów”?

CM: Tak, dokładnie tak. Ja uważam się za jednego z ostatnich Polaków litewskich.

Czy dlatego, że już nie ma środowiska czy choćby pojęcia? Ani też – jak w przypadku Finoszwedów – poczucia jakiegś wspólnej dla kręgu własnej przynależności narodowej?

CM: Istniały w Wilnie załączki tego, np. w postaci ideologii tzw. „krajowców” i patriotyzmu lokalnego, no, ale to zostało zmiecione. Nie, ja nie mam poczucia, że istnieje jakieś środowisko, w którym mógłbym się poczuć tym właśnie, kim jestem, tzn. Polakiem litewskim. Szukam dusz pokrewnych, ale nie mogę ich znaleźć, bo już jest bardzo późno.

Panie Profesorze, wracając jeszcze do problemów wykładania literatury polskiej w obcym obszarze językowym. Znane jest powiedzenie: „traduttore-traditore”: tłumacz-zdradca i że przekład, choćby najwerniejszy, nie zastąpi nigdy w 100% oryginału. Ciekawa jestem bardzo opinii Pana na ten temat jako wykładowcy historii literatury polskiej w sytuacji, kiedy wykłady te oparte były z pewnością w dużym stopniu właśnie na przekładach, studenci często nie zdają czy nie są w stanie przeczytać wszystkich wymaganych polskich utworów w oryginale?

CM: No tak, ja mam co do tego bogate doświadczenie. Prowadziłem seminarium przekładowe. Myśmy tłumaczyli razem ze studentami.

Tak na gorąco?

CM: Tak. Nauczyłem się tego w szkole średniej w Wilnie. Nasz profesor łaciny wypisywał na tablicy jeden wers Owidiusza i pytał: „No, kto ma co do

tego poprawki? Kto inaczej to ujmie?” No i podnosiliśmy palce, dodawaliśmy coś...

...do Owidiusza?!

CM: Tak! I tak właśnie upływała nam cała godzina, czasem na tłumaczeniu jednego wersu. I mniej więcej to samo starałem się robić na swoim seminarium. Natomiast odkryłem z konieczności sposób tłumaczenia z poeta, z którymś z poetów amerykańskich, moim znajomym, nie znającym języka polskiego. Ja robiłem wersję angielską, a on nad tym pracował. I w ten sposób przetłumaczyliśmy wiersze Herberta, to był właściwie pierwszy poeta tłumaczony przeze mnie, poza tym ułożyłem antologię *Postwar Polish Poetry*, wydaną w 1965 roku...

...Tak, mam ją na półce w moim uppsalskim instytucie i niejednokrotnie z niej korzystałam i nadal korzystam.

CM: Później zaś natrafiłem na poetów amerykańskich, takich jak Robert Hass czy Robert Pinsky i paru innych, obdarzonych nieomylnym słuchem językowym i właściwie mój ogromny tom *Collected Poems*, to dzieło moje i innych tłumaczy, głównie Roberta Hassa. Podobno czyta się to bardzo dobrze, tak jak w oryginale. Czyli to jest możliwe, ale jest to bardzo rzadkie.

To chyba dość rzadko spotykana kombinacja – to, że Pan Profesor, jako poeta, ze znajomością języka angielskiego, mógł dać ten wstępny przekład, nad którym potem pracował native speaker. To wyjątkowa, moim zdaniem, sytuacja, bo w ten sposób miał Pan luksus, że tak powiem, ingerowania w tłumaczenia dotyczące Pana własnej poezji, prawda? Mógł Pan sam ocenić ten przekład.

CM: Tak, kiedy biorę do ręki ten ogromny tom *Collected Poems*, to dziwię się sam, bo ostatecznie wszystko przeszło prawie przez moje ręce.

Jest Pan poetą o światowej sławie, którego dzieła są przetłumaczone na ogromną liczbę innych języków. Na przekłady w języku angielskim miał Pan, jak sam Pan powiedział, możliwość wpływu. Jeśli jednak chodzi o inne języki – czy nie obawiał się Pan nigdy pewnej „niewierności” w oddaniu Pana przekazu artystycznego? W jego interpretacji? Może całkiem odmiennie od Pana intencji pisarskich?

CM: Ja na ogół niechętnie odnoszę się do przekładów moich utworów na angielski innych, obcych tłumaczy; chcę mieć kontrolę. Jeżeli chodzi o inne języki, to już nie mogę nic na to poradzić. Ale na przykład tłumaczenia na francuski staram się kontrolować, bo znam język, prawda. Jednak francuski zupełnie mi nie leży, więc sam nie umiałbym tego przetłumaczyć na ten język.

Podkreśla się duży wpływ pejzażu na Pana twórczość. Nie chodzi mi tutaj o pejzaż sentymentalny czy nostalgiczny, ale raczej o to, czy jest to pejzaż pamięci i czy zmienia się on pod wpływem czasu i sytuacji czy – przeciwnie – istnieje pewien niezmienny obraz, stanowiący punkt odniesienia dla Pana wspomnień czy rozważań?

CM: Tak, istnieje coś takiego w pamięci, jak północ, południe, wschód i zachód.

W sensie dosłownym czy przenośnym?

CM: Dosłownie, według układu osiowego. Na północ, na południe...

...na wschód...?

CM: ...na prawo, na lewo, na zachód. Bo to zależy od mojego w dzieciństwie układu wzdłuż rzeki. Ja przylapuję się bardzo często w moich snach, do takiego układu osiowego [sic].

To fascynujące!

CM: Tak, krajobrazy się zmieniają, ale nie ten układ. To tak, jak patrzymy na mapę, bo przecież na mapę też tak patrzymy: tu jest północ, na górze, południe jest na dole. Na lewo i na prawo, prawda – i tak samo we wspomnieniach. Ale jeśli chodzi o szczegóły krajobrazu, to ponieważ mieszkałem bardzo długo w Kalifornii, dużo obrazów kalifornijskich się w to włącza. To taka mieszanina litewsko-kalifornijska.

W takim razie żądam Pana istotne w tym kontekście pytanie: jak po latach podróży, emigracji i różnych „geograficzno-kulturowych” doświadczeń określiłby Pan swoją tożsamość? Jako człowiek czujący i myślący, poeta, uczestnik i obserwator życia zarazem?

CM: Nie umiałbym jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie.

Może w takim razie zapytam tak: jak Pan sam odnosi się do tego, że przez długie lata określano Pana jako pisarza emigracyjnego? Czy utożsamiał się Pan z tym określeniem?

CM: Ja bardzo nie chciałem być uznawany za pisarza emigracyjnego, ponieważ czulem się wyobcowany ze społeczeństwa emigracyjnego, które miało swoją historię i swoją mentalność. Ja natomiast byłem związany ze środowiskiem literackim i intelektualnym w Polsce. Woląłem uważać siebie za część tego właśnie środowiska krajowego, rzuconego paradoksalnie na zachód. Ja nie identyfikowałem się z emigracją polską. Było to dla mnie środowisko dość obce. Z wyjątkiem „Kultury” Giedroycia, w tym sensie nastąpiło u mnie niewątpliwie przejście na pozycje emigranta.

Ciekawi mnie, jaki jest zatem Pana stosunek do literatury emigracyjnej?

CM: Mieszkając w Polsce, odkrywam ze zdumieniem, do jakiego stopnia cenzura komunistyczna była skuteczna! Stąd też znajomość książek pisanych

i wydawanych na emigracji jest w Polsce bardzo skromna. Ludzie nie znają nazwisk, nie znają utworów. Dla młodych pokoleń, które rosły wtedy, kiedy te książki ukazywały się na Zachodzie, były one niedostępne. Nie tylko niedostępne, ale nawet zupełnie nieznane. I te luki nie zostały nigdy nadrobione. Nominalnie powiedziano już w latach osiemdziesiątych, że koniec z podziałem literatury polskiej na emigracyjną i krajową. Ale dotychczas niewiele się w tym względzie zmieniło.

To prawda, sądzę, że podział ten w świadomości społecznej istnieje nadal. Granica ta jest bardzo wyraźna.

CM: Tak, tak jest, niestety.

Mam zatem do Pana, niejako w związku z tym, pytanie. Otóż czynnikiem, który najsilniej napiętnował literaturę polską w kraju i zagranicą, był bez wątpienia aspekt polityczny, na dobre i na złe. Bowiem ów aspekt polityczny był także dość wygodny – i dla pisarzy, i dla odbiorców, jako że wszystko można było do niego odnieść, zwłaszcza w warunkach innych kultur czy innych kręgów kulturowych. Mam nadzieję, że Pan rozumie, o co mi tutaj chodzi.

CM: Bardzo dobrze rozumiem.

Dzisiejsi pisarze mogą się wreszcie wyzwolić od tego specyficznego „kodu polskości”, a przez to w naturalny sposób wejść w krąg kulturony wspólnoty europejskiej, inaczej mówiąc – wpasować się w kod europejski. Co sądzi Pan na ten temat?

CM: Mogę pani opowiedzieć jedną rzecz. Właśnie ukazała się książka, moja, pod tytułem *Przygody młodego umysłu*, która się składa z moich tekstów prozą, pisanych przed trzydziestym dziewiątym rokiem. To znaczy przed ukończeniem przeze mnie trzydziestego roku życia. No i to jest miotanie się młodego człowieka pomiędzy dwiema totalnymi ideologiami. Tzn. z jednej strony komunizm, z drugiej strony rozmaite odmiany – rodzime i obce – nacjonalizmu. A przy tym i rozpaczliwe wysiłki, żeby siebie jakoś określić wobec tych dwóch potężnych nurtów. Dzisiejsi poeci czy prozaicy cierpią na absolutny brak jakichkolwiek odniesień. I to jest wielka i ogromna różnica. Mnie się jednak zdaje, że tutaj nastąpiło jakieś zafalszowanie. Bo Polska nie jest normalnym krajem europejskim, nie stała się nim jeszcze, zbyt dużo jest węzłów sięgających w przeszłość, zbyt wiele jest komplikacji historycznych, żeby uważać Polskę za normalny kraj europejski. Ci pisarze, którzy próbują zajmować się rozmaitymi innymi sprawami niż polityczna rzeczywistość, być może się mylą.

Chodzi chyba o to, żeby ten głos kultury polskiej uczynić słyszalnym, żeby ona mogła się przebić. I żeby ta kultura zaistniała w jakiś sposób w nonych politycznie warunkach? Żeby nie uległa „macdonaldyzacji”.

CM: Nie, problem jest poważny, dlatego że istnieje nacisk kultury masowej, międzynarodowej, ta właśnie, jak to pani powiedziała, „macdonaldyzacja”.

Użyłam tego słowa świadomie. Nie tylko bowiem w Szwecji zamsze i z dużym zainteresowaniem śledzono walkę Polaków z komunistycznym (a wcześniej innym) reżimem, Polska była w tym sensie „egzotyczna” dla Zachodu. Obecnie pisarze stracili dość dużo ze swej martyrologicznej otoczki. Obraz bogatej i wyrafinowanej kultury wysokiej, w ciągłej walce z „przemocą”, który na długi czas zdominował pojęcie zachodu o literaturze polskiej, teraz musi ulec weryfikacji.

CM: No, tutaj mi się zdaje, że ta walka z przemocą, walka z cenzurą i tak dalej, też ulegały pewnej mitologizacji. Przytoczę tu słowa irlandzkiego poety Seamusa Heaney’a, który powiedział, że poezja polska jemu, jako Irlandczykowi, bardzo pomogła. Przez swój dystans i duże wyrafinowanie w ujmowaniu skomplikowanych sytuacji historyczno-politycznych pozwoliła mu uzyskać środki na traktowanie własnego północnoirlandzkiego konfliktu w sposób czysto poetycki, tzn. inny niż opowiadanie się po jednej albo po drugiej stronie. Ale jednocześnie ze świadomością, że ten konflikt istnieje i jątrzy się. I właśnie to połączenie sytuacji historycznej i osobistej uznał za wielką zaletę polskiej poezji.

Jaką funkcję poezja ma zatem do spełnienia w tej nowej rzeczywistości, skoro odebrano jej rolę moralnego przewodnika narodu w warunkach ideologicznej niewoli? I ona niekwestionowana przez wieki rolę nieszcza?

CM: Wie pani, ja osobiście uważam, że Polska ma specyfikę polegającą głównie na tym, że jest to kraj katolicki i katolicyzm jest ogromnym problemem dla wielu ludzi dzisiaj. Tu przyznam jednak, że dla mnie Polska jest krajem pod wieloma względami niezrozumiałym. Z jednej strony traktowanie obrzędowego katolicyzmu z poczuciem wyższości intelektualisty byłoby wielkim błędem. Obrzędowość jest ludziom potrzebna. Ale nie rozumiem tych ludzi, że równocześnie zachowują się w życiu tak, jakby katolicyzm nie istniał, jakby religia nie istniała. Ja uważam, że to, co jest najciekawsze w Polsce, to jest właśnie myślenie religijne.

Czyli według Pana Profesora to właśnie są te polskie Wartości Ponadczasowe...

CM: Na pewno!

...które przetrwają te wszystkie inne polityczne wydarzenia?

CM: Na pewno!

To fascynujące! Zatem chciałabym zadać Panu inne pytanie, które mnie jeszcze bardziej fascynuje. Niejednokrotnie wypowiadał się Pan na temat utworów polskich pisarek, m.in.

Szyborskiej czy Świrszczyńskiej, która właściwie dzięki Panu zaistniała jakby na nowo w świadomości literackiej i kulturowej, czy chociażby Manueli Gretkowskiej, „l'enfant terrible”, którą notabene bardzo sobie cenię za jej cięty język i jej satyryczny dystans do wszystkich naszych polskich tak szumnie zwanych Wartości Ponadczasowych. Ale czy literatura polska póra kobiet (proszę zauważyć, że świadomie nie używam pojęcia „literatura kobieca”) jest według Pana osobnym zjawiskiem, a jeśli tak, to co pisarki te do niej wnoszą? Czym ją wzbogacają?

CM: No, ja się specjalnie interesowałem Świrszczyńską.

No właśnie, dlaczego?

CM: Nia, jako przykładem wielkiej, powiedziałbym, rafinady wskutek doświadczeń wojennych na przykład. Przecież wiadomą jest rzeczą, że ona nie umiała sobie dać rady z tymi doświadczeniami, że późno zaczęła o tym pisać, ale to jest sprawa jakiegoś zbliżenia się do rzeczywistości poprzez doświadczenie, właśnie historyczne. I dopiero wtedy ona zaczęła pisać erotyczne wiersze. Tutaj, powiedziałbym, nastąpiło jakieś wyzwolenie kobiecości przez wojnę, ale nie bezpośrednio przez wojnę, jak w wypadku Szyborskiej. Mnie po prostu interesuje filozoficzność tych kobiet. Świrszczyńska jest poetką kaligraficzną, że tak powiem. Niekonfesyjną. Tzn. w przeciwieństwie do poezji wyznań to jest poezja, która przemienia na przykład związek pomiędzy mężczyzną i kobietą w kaligraficzny rysunek: jakiś on i jakaś ona.

Ciekawie to Pan określił.

CM: Tak, to raz. A po drugie litość, współczucie, feminizm Świrszczyńskiej nie jest feminizmem takim programowym – walki o równe prawa kobiet i mężczyzn, ale litości nad losem kobiet bitych, poniewieranych, widać tu po prostu przekrój społeczeństwa patriarchalnego, którym jest Polska niewątpliwie.

Całkowicie zgadzam się z Panem.

CM: [śmiejąc się] Tak?

Tak! Proszę zwrócić uwagę na fakt, że słowo „feministka” to w Polsce nadal bardziej lekceważący epitet niż komplement czy choćby neutralne określenie.

CM: Tak, to też mniej więcej określiło mój stosunek do Świrszczyńskiej, mam tu na myśli antyfeminizm krytyków. Ona jest bardzo wybitną poetką, ja starałem się zrobić, co można, żeby podwyższyć jej rangę.

Mnie także Świrszczyńska zawsze fascynowała. Pamiętam, jak na początku lat 70. czytałam jej nowo wydany tomik „Jestem baba”. To było dla mnie absolutne przeżycie, nikt przed nią tak nie pisał.

CM: To prawda.

Jeżeli feminizmu by nie było, to wynalazłaby go właściwie Świrszczyńska, w tym pojęciu, jak Pan Profesor to określił.

CM: Tak.

W tym takim najczystszym wydaniu, żeby przełamać stereotypowe podziały ról między kobietą a mężczyzną, reszta społeczeństwo polskie jest pod tym względem niesłychanie tradycyjne.

CM: Bardzo tradycyjne! Dlatego ja bardzo cenię te kobiety, które otwarcie oświadczają się ze swoim feminizmem.

Pana książka „Jakiegoś to gościa mieliśmy” – będąca nowym odczytaniem utworów Świrszczyńskiej – pokazuje wyraźnie, że feminizm nie jest „zachodnią zarazą”, ale pomocnym podejściem badawczym, który może wiele czytelnikom uświadomić. Czy w Pana opinii ta książka przełamała polskie uprzedzenia wobec „feminizmu” i czy w ogóle było to Pana częścionym zamiarem?

CM: Nie, nie było to moim zamiarem. Moim zamiarem było napisanie książki, która by przybliżyła Świrszczyńską i przywróciła jej właściwą rangę. A przy okazji ja nie brałem tak poważnie, pisząc książkę, polskiego antyfeminizmu, ale przekonałem się stopniowo, że rzeczywiście ma pani rację, że jest ta wrogość.

To na pewno też zwrócił Pan uwagę na napastliwy ton w ogóle w mówieniu o tym, tak jakby to było jakieś ośmieszanie. W społeczeństwie polskim nadal istnieje negatywny stereotyp feministki.

CM: Tak, tak.

Cieszę się, że mamy takie samo zdanie na ten temat. To mnie bardzo podniosło na duchu. Zwłaszcza, biorąc pod uwagę różnicę płci i generacji między nami. Tym bardziej cenię sobie tę opinię Pana Profesora.

[śmiejąc się]: To dobrze!

A wracając do głównego wątku naszej rozmowy: jak Pan w takim razie ocenia, tak ogólnie, współczesną literaturę polską?

CM: Ja się staram, kiedy padają tego rodzaju pytania, nie wymieniać nazwisk. Bo to jest jakieś żenujące. I jeżeli ja jakieś nazwisko wypowiem, to ma to dużą wagę, więc staram się tego wystrzegać.

Rozumiem. To może zapytam inaczej: który ze współczesnych utworów polskich ostatnich lat ma Pana zdaniem szansę wejść w przyszłości do kanonu klasyki literatury polskiej?

CM: To zależy, jaki okres czasowy bierzemy pod uwagę.

Zostawmy zatem temat, kto i jak wejdzie do klasyki literatury polskiej, bo faktycznie odpowiedź na to pytanie łączyłaby się z wymienianiem nazwisk. Ale wracając jeszcze do ogólniej-

szych spraw. Pan wprowadził pojęcie „dwie Europy” w książce „Rodzinna Europa”. A jak to wygląda dzisiaj, w pokomunistycznej rzeczywistości, ten podział na „dwie Europy”. Czy nadal należymy do „drugiej” Europy, czy się zbliżamy do tej pierwszej?

CM: Mnie się zdaje, że podział na dwie Europy jest czymś bardzo trwałym. Być może inaczej było w XVI wieku, może jeszcze częściowo w XVII, ale chodzi o świadomość zachodnich Europejczyków i myślę, że w ich świadomości, tzn. w świadomości Francuzów, Belgów, Niemców, Anglików istniała linia, poza którą zaczynały się białe niedźwiedzie. [*śmieje się*] „Ubi leones”, czyli „gdzie lwy”, jak kiedyś pisano. I myślę, że to jest bardzo zakorzenione w świadomości Zachodu, zachodnich Europejczyków. Ile czasu musi upłynąć, żeby to zanikło, nie wiem, ale dotychczas ta linia graniczna w świadomości zachodnich Europejczyków istnieje, istnieją nawyki, przyzwyczajenia i istnieje też kompleks Polski. Właśnie odrzucenia przez Zachód. Ale nie zapominajmy, że ów kompleks odrzucenia ma swoje podstawy, na przykład w układzie w Jalcie i że po prostu Polska została oddana we władzę Moskwy. Stąpamy więc po gruncie pełnym zadawnionych urazów i mitologicznych przyzwyczajzeń. Ale jednocześnie jesteśmy w sytuacji bardzo przejściowej, kiedy może uformują się jakieś nowe stereotypy. Dotychczas chyba się nie uformowały.

Swoje przemówienie noblowskie z 1980 roku zakończył Pan następującymi słowami: „Wszyscy jesteśmy tylko i wyłącznie ogniwami łączącymi przeszłość i przyszłość”.

CM: Dorzucę do tego jeszcze to, o czym dowiedziałem się już później, mianowicie Josif Brodski, z którym się przyjaźniłem, powiedział: „My nie piszemy dla tych, co przyjdą po nas, ale po to, by spodobać się naszym poprzednikom”.

Najwyraźniej uzupełniacie się panowie nawzajem.

CM: [*uśmiechając się*]: Tak, tak, najwyraźniej...

A zatem mam ostatnie, osobiste pytanie: jakich pytań Pan nie znosi, Panie Profesorze? Od tego chciałam zacząć naszą rozmowę, ale zabrakło mi odwagi...

CM: Nie myślę, żeby istniał jakiś gatunek pytań, których bym nie znosił. Zresztą wszystko zależy od jakości pytającego, prawda?

* * *

Tu Czesław Miłosz wybuchnął serdecznym śmiechem, w czym nietrudno mu było towarzyszyć. W ten sposób zakończyliśmy rozmowę, która i tak

przekroczyła z nawiązką limit czasowy przeznaczony na wywiad. Tak też zapamiętam Go na zawsze: nie tylko poprzez Jego dzieła jako wielkiego poetę i pisarza, ale także jako fascynującego swą charyzmą rozmówcę, hojnie dzielącego się swoimi przeżyciami, refleksjami i doświadczeniami.

Skrócona wersja wywiadu została opublikowana w „Göteborgs-Posten” 18.01.2004 r. pod tytułem: „I ordets tjänst. Ett samtal med Czesław Miłosz” (s. 56–57).